

* * * * *

ZARYSY Z BADAŃ PRZYRODZENIA.

I.

Cudowność wszystkim się podoba, chociaż niektórzy zaprzeczają lub ukrywają tę prawdę, przez jakieś dziwaczne uczucie miłości własnej.

I ja także lubię cudowność, lecz, zbyt leniwy abym miał za nią gonić, chciałbym ją znaleźć tuż pod ręką, gdy się przechadzam zadumany nad brzegiem strumienia, lub pod milczącym cieniem lasów. Chcę ją dostrzedz przez wodę szmerzących strumieni, napotkać pod tą kępką ziół, pod brunatną korą tej starej wierzbki, pod owistym liściem tej płaczącej brzozy; chcę się tylko schylić i pochwycić ją za każdym krokiem, przechadzając się po lasach i łąkach. Tam, tysiące rozmaitych ludów otwiera przedemną archiwa swoje: a dla tego który je umie czytać, nie zbywa w nich ani na fantastyczności ani na cudowności. Pójdźcie ze mną wyczytać kilka

kartek, gdyż pragnę was przekonać. Zaczniemy na los, od pierwszej co się nadarzy.

Widzicie ten ładny wiejski domek, tak malowniczo unieszczone przy wejściu do lasu; lat temu kilka, mieszkał w nim jeden z moich przyjaciół, wielki miłośnik zabaw, biesiad i towarzystwa; ztąd poszło że domek ten dzisiaj jest pustym. Wychowywał na dziedzińcu całe gniazdo kacząt, które bardzo jeszcze małe, po drugi raz zostały sierotami: gdyż kura, co je wysiedziała, utonęła w sadzawce, chcąc je ratować skoro postrzegła pływające po wodzie. Od tej smutnej chwili, dziesięcioletni synek ogrodnika codziennie wodził kaczęta do tej sadzawki, odległej o dwieście kroków od domu. Pozwalał im pływać przez godzinę, potem przyprowadzał na podwórko.

Chłopczyk ten wychował srokę, która wszędzie za nim chodziła, osobliwie do

sadzawki za kaczkami. Tam, usiadłszy na gałązce wierzby, ani na chwilę nie traciła ich z oczu. Zaledwie wybiła godzina powrotu, już naśladując swego pana, chodziła tam i sam w około sadzawki, aby z niej wygonić kaczkę, potem szła podskakując za niemi, doglądała je, przymuszała uderzeniem dzioba nie zbacać ze ścieżki, i przyspieszała chód ich leniwy, aby prędzej powrócić do domu.

Gdy chłopezyk spotkał czasem szkolnego towarzysza, zatrzymywał się na swawolę. Wówczas to sroka, zostawszy sama powodzielką kacząt, podwajała baczność, dziobanie i wrzaski, aby je bez szwanku doprowadzić na podwórko.

Wydarzyło się raz iż, chłopezyzna zachorował, i nie mógł kacząt zaprowadzić do sadzawki o naznaczonej godzinie. Sroka, niezmiernie niespokojna, chodziła bez ustanku z kuchni na podwórze, z podwórza do kuchni, kręcąc się i krzycząc głośniejsz jak zwykle; lecz na próżno, nikt nie poprowadził kacząt. Wzięta więc rozpaczne przedsięwzięcie, sama powieść je do wody, i tak to zręcznie i starannie wykonała, że zadowolona służąca, nadal powierzyła jej to staranie.

Sroka codziennie wykonywała swoją powinność, z równą przezornością i poświęceniem, nawet pyszniła się z tego zlecenia. Jeśli kot lub pies domowy, za blisko przysunął się do jej gromadki, skakała mu do oczów, z odwagą, której nie okazałaby pewnie w innym przypadku.

Lecz jej wychowawce porosły i utyły, i co tydzień kucharka zmniejszała ich liczbę. Sroka nie mniej dla tego prowadziła pozostałe do sadzawki, i gorliwość jej wytrwała aż do końca, chociaż smutek jej był widoczny i głęboki. Włożono nakoniec ostatnie kaczątko na rożen; sroka widząc jak je brano z podwórza, wydała krzyk żałośny i uciekła do pobliskiego gaju. Odtąd już nie wróciła.

Większe zwierzęta umieją doskonale porozumieć się między sobą do łowieckich postępów; nieraz, będąc jeszcze młodym, ciekawe w tym względzie czyniłem postrzeżenia. Mieszkałem wówczas nie daleko rozległej kniei. Co noc słyszałem w przyległym lasku skamlący głos lisów, polujących na zające, jak najlepiej wyćwiczone psy gończe, dopóki pierwsze promienie jutrenki do nór ich nie zagnały.

W piękną noc letnią, otworzyłem okno, aby odetchnąć świeżym powietrzem, Niebo iskrzyło się gwiazdami, księżyc barwił przedmioty bladym swoim promieniem, i najmniejszą rzecz łatwo można było rozpoznać o pięćdziesiąt kroków. Była blisko trzecia z rana; ubrałem się, aby po-

dójść lisa, polującego na wzgórkę na przeciw mego okna. Wziąłem strzelbę i wyszedłem.

Postyszałem wyraźnie po za krzakami zbliżające się łowy, wniosłem ztąd, iż zając przebiegnie nie zadługo tak blisko, iż go będę mógł dosięgnąć okiem i strzelbą. Wszedłem więc do lasu, czyniąc jak najmniej łoskotu, i usiadłem na mchu, pod drzewem, tam gdzie się dwie schodziły drogi. Już zaczynało świtać, gdym postrzegł zająca, dążącego ku mnie ile tylko mógł wyskoczyć. Aby z większą pewnością trafić, chciałem go przypuścić do siebie, gdyż nic nie mogło go przestraszyć, ani zwrócić z drogi.

Omyliłem się, był już blisko o pięćdziesiąt kroków odemnie, gdy lis wypadł z po za krzaka, gdzie podobnie jak ja siedział na czatach, i skoczył na biedne zwierze. Lecz chybił; zając dał młynka, zapuścił się w las i zniknął. Myśliwy, jak gdyby zdziwiony swoją niezręcznością, nie myślał go ścigać, lecz pobiegł w krzak z którego był wyskoczył. Już chciałem wstać i odejść, gdym go znowu postrzegł wyskakującego i padającego na toż samo miejsce, gdzie chybił swą zdobycz. Znowu wbiegł do lasu, wyskoczył trzeci raz, potem czwarty, i tak dalej odbywał to szczególniejsze ćwiczenie przez czas dosyć długi. Chciałże poznać przyczynę swego zawodu, czy też wprawiał się aby lepiej na drugi raz utrafić, tego nie wiem?

Tymczasem przybył, oszczekując się zdaleka, towarzysz idący za tropem zwierzyny. Nic śmieszniejszego nie podobna widzieć, jak pomięszanie i gniew nowo-przybytego, gdy się dowiedział że drugi nic nie schwycił, tylko powietrze, i że nie było żadnego łupu do podzielenia. Przez pół minuty patrzył na niego wahając się; potem, pusiwszy wodze słusznemu gniewowi, rzucił się wściekle na niezgrabnego, i rozpoczęła się walka, którą zakończyłem wystrzeleniem z fuzji: każdy co prędzej w inną odbiegł stronę.

Lisy nie są jedyne mięsożerne zwierzęta, stowarzyszające się dla łatwiejszego dostania łupu. Dzikie psy i szakale afrykańskie, polują w gromadach mniej lub więcej licznych, a gdy złapią antylopcę lub gazellę, zajądają wspólnie bez żadnej sprzeczeki. Każdemu wiadomo, że wilki podobnie prawie postępują. Gdy jeden z nich ma chrapkę na psa folwarcznego, który jest zbyt duży i silny, idzie po którego ze swych towarzyszy, i zasadza go na czaty w krzakach, o dwieście lub trzysta kroków od folwarku. Krąży potem wokoło budynków, dopóki nie obudzi czujności wiernego kundla. Ten rzuca się na-

tychmiast, szczerkając, skoro tylko zwierzy nieprzyjaciela trzody. Wilk udaje lęklwego i ucieka, lecz tak, aby go pies mógł z bliska ścigać. Prowadzi go wprost do zasadzki, i wówczas się odwraca. Obydwa razem wpadają na niego, a biedny stróż, po najokropniejszej walce, pada ofiarą swój odwagi, jeśli pan, uwiadomiony jego wyciem, prędko na pomoc mu nie pośpieszy.

Teraz zobaczymy które zwierze da nam najtkliwszy przykład miłości, tego głównego wężła towarzystw ludzkich. Będzie to gołąb, który lubo nie odstępuje samicy, bywa jednak czasami niewiernym? Będzież to czuła turkawka z różanemi nóżkami, której małżeństwo trwa rok tylko jeden? lub też skrzydło-szpon, (*Palamedea curnuta*, Cuvier), którego nosi ruchomy róg nagłowie, rozpościęra po bagnach Ameryki południowej, głos podobny do grzmotu, który nigdy nie opuszcza swój samicy, i wierny jej przez całe życie, umiera ze smutku jeśli ją straci? Nie; tego przykładu czułości i cnoty małżeńskiej, nie da nam żaden ptak świetniemi okryty pióry, żadne zwierze ze szklniącą siercią, ani ryba ozdiana łuską symetryczną, ani żadna z istot posiadających wdzięki, lekkość kształtów i zewnętrzne powaby, lecz... ropucha!

Tak jest! ten płaz od wszystkich wzgardzony, szkaradny, obmierzły, co brzuch swój trupio-żółty wlecze po kałużach, co nie umie ani skakać jak żaba, ani biec jak jaszczurka, ani pływać jak salamandra, ta ropucha co przeraża i obmierzłość sprawia, której wtedy chyba zostawiamy życie, gdy go odebrać nie możemy, tę wam przedstawiam jako wzór małżonków.

Ropucha (*Bufo obstetricans* Cuvier) nie opuszcza nigdy swój samicy, chodzi za nią wszędzie, czuwa nad nią z najczulszą troskliwością, naraża się na wszelkie niebezpieczeństwa aby ją od nich uchronić, i pomimo zupełnej bezsilności, groźną przybiera postawę naprzeciw wielkich zwierząt; byle od samicy odwrócić ich uwagę. Ustępuje jej ułowione robaczki; z trudem wykopuje dla niej norę lub urządza pomieszkanko pod opiekuńczym kamieniem; zawsze umieszcza się przed nią, aby ją zasłonić własnem ciałem, gdy się zjawi jaki nieprzyjaciel. Przez zbyt miłości nie pozwala nawet samicy zajmować się staraniami macierzyństwa, gdyż przycepi sobie jaja do udów, za pomocą jakiejś nici szlamowatej, i nosi je jak najostrożniej, dopóki nie są usposobione do wyklucia. Wówczas szuka jakiejś stojącej wody; tam je składa, aby małe znalazły się w żywiole, który im potrzebny jest w pierwszych chwilach życia; potem po-

wraca do samicy, aby ją na nowo otoczył najtkliwszemi staraniami.

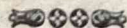
Pewnego dnia, zbierałem rośliny do zienika. Powietrze było gorące, a słońce prostopadle rzuciło promienie na moją głowę. Chcąc wypocząć, usiadłem w cieniu na odłamku skały. Nie zadługo ujrzałem żmiję (*Caluber berus* Lin.) wychodzącą z pod obalonego pnia, i rozciągającą się na słońcu o sześć kroków odemnie. Nadzwyczajnie była rozdęta, co mi dało powód do mniemania, że musiała potknąć znaczne jakieś zwierze. Nagle roztworzyła pysk, jakgdyby chcąc poziewać, i z wielkiem mojem podziwieniem ujrzałem wychodzące z niego najprzód jedno żmijątko, potem drugie, trzecie, i narachowałem ich aż do szesnastu. Wtedy żmija zamknęła pysk i zajęła się czuwaniem nad dziećmi, igrającemi po trawie; jeśli jedno z nich zbyt oddalało się od gromady, zwracała je łagodnie pyskiem, i wyraźnie widziałem jak je lizata jedno po drugim, swym miękkim i widlastym językiem.

Ruszyłem się, i żmija mnie postrzegła. Podniosła ku mnie głowę z żywym gestem obawy i gniewu, potem pochyliła ją ku ziemi, długie wydała gwizdnięcie, roztworzyła pysk, a małe żmijątko, które zaledwie tak były duże jak glisty, powpadały jej do gardła niezmiernie przestraszone, i znikły jedno po drugim. Żmija zamknęła pysk i pospieszyła do kryjówki, unosząc w żołądku drobną swoją rodzinę. Podziwienie nie dozwoliło mi nawet pomyśleć o jej zabiciu.

Większa część ptaków broni swego gniazda dosyć odważnie, lecz rzadko przeciwnapadem człowieka. Jest jednakże jeden pomiędzy niemi, który nigdy nie waha się rzucić na nieprzyjaciela, gdy zagraża jego dzieciom. Którenże z powietrznych mieszkańców myślicie że jest tak śmiałym, aby stawiał czoło owej potężnej i niebezpiecznej istocie? Czy orzeł z ostreimi szpony, kondor co się po nad obłoki unosi, lämmergeyer co młode porywa jelonki? Nie; jest to ptako-much, czubato-białoszyi, który w wielkości wyrównywa zaledwie chrzabaszczowi. Powabna ta miniatyka (*Trochilus magnificus*), ma dziobek prosty, a pierze najwyższego metalicznego odbłasku; główkę zdobi mu piękny czubek szkarłatny, a policzki ma ozdobione dwoma koloretkami białemi, najpiękniejsze czyniącemi wrażenie. Lot jego jest raptowny, przerywany, nadzwyczaj szybki, i ciągle widzieć go można brzęczącego po nad kwiatami. Ptako-muchy. Żyją parami, a samiec nie cierpi aby inna samica osiadła w pobliżu krzaka, na którym jego połowica założyła mieszkanie i uwiła



MAGNAT WĘGIERSKI.



gniazdeczko. W takim razie, biją się pomiędzy sobą, z zajadłością, której żaden inny ptak nie przedstawia przykładu, i z życiem chyba zwyciężony ustępuje zwycięzcy, jaszmin lub pomarańczę, na której obrat sobie siedlisko.

Samiczka robi gniazdo bardzo sztucznie, między dwoma gałązkami, a niekiedy około korzonka liścia lub kwiatu. Wierzch jest z bawełny, a wewnątrz z cienkiego i jedwabistego puchu, który zbiera na ziarnkach niektórych roślin. Z wielką pilnością wysiada jaja, nieco większe od

ziarenek grochu, a przez cały czas siedzenia, samiec, zaczajony w pobliżu, na wpół ukryty w długim czerwonym kielichu wirgińskiego jaszminu, czuwa nad bezpieczeństwem przyszłej rodziny. Nie lęka się ani ptaków drapieżnych, ani żartocznych zwierząt, od których go ochrania jego małość; lecz na groźnych nieprzyjaciół, w dwóch istotach zarówno złośliwych, w człowięku i pewnym pająku, i nie waha się rzucić na nich, ile kroć rodzina jego jest zagrożoną,

Pająk zwany *Micala avicularia*, długi

jest blisko na półtora cala, to jest dwa lub trzy razy większy od ptako-mucha, czarniawy, niezmiernie kosmaty, z pyskiem i nogami czerwonawymi. Rano i wieczór, wychodzi z jaskini w której mieszka, i błąka się po polu szukając łupu. Jeśli ptakomuch postrzeże go wdzierającego się na krzewinę, na której znajduje się przedmiot najtkliwszych jego uczuć, zdjęty obawą i wściekłością rzuca się na potwora, napada nań mężnie, wlatuje kręcąc się w około pajaka, dokucza mu z tyłu, z przodu, z boku, a to tak żywo, iż nie raz zdoła zagłuszyć go i przymusić do odwrotu. Lecz, niestety! częściej, owinięty długimi kosmatymi łapy, pochwycony w ostre i zjadliwe kleszcze, umiera ofiarą swego poświęcenia. Potwór zawłóczy go do swęj kryjówki, pożera i wraca dokończyć kłęski małej rodziny, porywając matkę i jej pisklęta.

Inne ptaki, natchnione miłością ojcowską, umieją łączyć podstęp z odwagą, aby odwrócić niebezpieczeństwo od swęj rodziny. Wybierzemy naprzykład tadorcę (*Anas tadorna* Lin) Jest-to wielka kaczka, która zwykle gnieździ się po nad morzem bałtyckiem. Jest biała, z zieloną głową, w około piersi ma pas cynamonowy, a skrzydła upstrzone czarno, biało, rudą i zielono, dziób mięsisty, grzebień czerwony, nogi cieliste.

Ziękny ten ptak szuka na piaskach jamy którą opuściły króliki; rozszerza ją, oczyszcza, wyściela spód suchą trawą, i zakłada w niej mieszkanie. Samica ściela tam gniazdo z puchu, który sobie wyskubuje z pod brzucha, znosi jaja, i siedzi na nich, a samiec tymczasem stoi na straży przy wejściu jamy. Gdy się młode wylęgna, codziennie rodzice prowadzą je do morza; lecz ta przechadzka nie odbywa się bez największych ostrożności, aby uniknąć cienia nawet niebezpieczeństwa. Najprzód samiec wychodzi z jamy, i rzuca w około przenikliwie i śledcze spojrzenie; jeśli nie postrzeżga nic zatrważającego, powraca i daje znak wyruszenia, wówczas cała rodzina spiesźnie puszcza się w drogę pod przewodem matki. Ojciec postępuje naprzód, i co kilka kroków wstępuje na skałę lub kupę piasku, aby odkryć co się dzieje z daleka. Jeśli postrzeże w odległości myśliwca i psa, wydaje krzyk trwogi, a pisklęta rozpraszają się i chowają po krzakach, pod gęste kępy trawy, lub skupiają się jedne koło drugiego, i pozostają nieporuszone; matka tymczasem oddala się, lecz nie tracąc ich z oczu.

Teraz tylko o to chodzi aby nadać strzelcowi inny kierunek. Samiec wzbija się za-

tém w górę, i pada obok psa, tak jednak aby go nie mogła dosięgnąć fuzya strzelca. Tam trzepece się po ziemi, jęklliwe wydając krzyki, jak gdyby zraniony i bliski skonania. Pies rzuca się na niego, lecz ptak, który śledzi jego poruszenia, bieży włokąc skrzydła, upada, znowu się podnosi, podlatuje, zawsze bliski schwymania, lecz nigdy nie schwytny, gdyż wszystkie te postępy są wyrachowane i z nadzwyczajną wykonaną zręcznością. Pies pełen zapału, mniema co chwila że go pochwyty i co chwila widzi go uciekającego jak gdyby z ostatniem wysileniem, i również zwiędziony, nie przestaje biedz za psem, podniecając go giestem i głosem. Podczas tęj sceny samica stoi na czatach. Skoro postrzeże oddalające się niebezpieczeństwo, powraca do dzieci, zwoływa je, gromadzi, prowadzi co prędzej do morza i oddala się z niemi od brzegu.

Samiec czas wyrachował, wie że dzieci już są ochronione przed niebezpieczeństwem; w ówczas przestając nagle udawać chorego, wydaje okrzyk radosny, wzbija się w powietrze, dosięga morza lekkiem i potężnym skrzydłem, łączy się z rodziną, i zostawia myśliwca i psa, zdumionych, o ćwierć mili odmiejsca, w którym go złapać chcieli.

Ta miłość, jakeśmy powiedzieli, tak jest silna w sercach niektórych zwierząt, iż może im natchnąć czyny zadziwiające; zupełnie przeciwne ich zwyczajom. Przytoczę przykład, który wydarzył się przed memi oczyma, w lasku, do którego poszedłem na polowanie. Sarna w towarzystwie swego dziecięcia pała się przy krzakach cierni i głogów, gdy postrzegła zgłodniałego wilka. Nieszczęśliwa matka, zapominając własnego niebezpieczeństwa, rzuca się pomiędzy dziecię i groźnego nieprzyjaciela, ależ niestety! jest bezbronna, śmierć jej nie ocali dziecięcia! Sarneczka nie może uchronić się ucieczką, musi więc ginąć; lecz ona może uciekać i zostawić ją nieszczęsnemu przeznaczeniu. Co czynić? macierzyńskie serce myśl jej podaje. Chociaż nie zwykła pochwytyć i nieść przedmiot nieco większej objętości, czyni ogromne wysilenie, chwyta sarneczkę za skórę na grzbiecie, i unosi ją, uciekając jak strzała, ścigana przez rozżarte zwierze. Siedzieliśmy pod jednym z drzew rozsianych po tém lasku, gdy biedna matka, wyniszczona utrudzeniem, mając wilka za swemi tropy, przebiegła o trzydzieści kroków, Wilk postrzegł nas, i zatrzymał się wahając; lecz dwa wystrzały zmusiły go do odwrotu, a sarna wraz z dziecięciem uszła bez szkody.

MAGNAT WĘGIERSKI.

Szlachta Węgierska od Słowaków ziemianami zwana, po wsiach osiadła, mieszka w ozdobnych domach; domy te noszą nazwisko kasztelów (z łacińskiego wyrazu zamek) i są prawie zawsze jednym kształtem budowane: fronton nie ma szczególnego w sobie; ze czterech tylko boków domu, wznoszą się małe wieżyczki, gotycyzm przypominające. Przy każdym takim kasztelu, znajduje się ogród obszerny i ozdobny; Węgrzy bowiem, a szczególnie kobiety kochają się w kwiatkach; stoły zawsze niemi są ozdobione. Gust angielszczyzny, zakładania dzikich ogrodów, jest tu także w modzie, lubo nie zbywa na owocowych drzewach, z których sliwki szczególnie pielęgnowane: winnice są zwykle oddzielne od ogrodów.

Znajomość kilku języków jest pomiędzy szlachtą Węgierską upowszechniona; najczęściej mówią po łacinie. Szlachcic Węgierski gościnnym jest aż do zbytku, uprzejmy, z szczerem sercem przyjmuje w swoim domu obcego. Kogo z cudzoziemców raz uzna za godnego swój przyjaźni i szacunku, tych nie zmieni nigdy; w przeciwnym razie, pogardy swojej nie umie polityczną grzecznością pokrywać.

Ubiór ich podobny jest do stroju znanych huzarów. Na zgromadzenia obywatelskie (congregatio), na zabawy publiczne, w dniuroczyste, na powitanie Cesarza, Palatyna, lub znakomitych osób, szlachta Węgierska występuje zawsze w dawnym stroju. Ubiór ten bywa dwojaki: pierwszy składa się z czapki wysokiej, sobolowej lub innego futra, z pośrodku której spada worek axamitny naprzód, z piórem i bogatą kitą; z dwóch dołmanów, na kształt naszych kurtek, bogato wyszywanych srebrem lub złotem; z tych jeden na rękawy wdziany, drugi z lewego ramienia spada; chustka na szyi grubo zawiązana, kołnierzyki frandzlami ozdobne. Spodnie obcisłe w boki zachodzące, równie bogato, jak dołmany wyszywane sznurkami w rozmaite wzory: do tego boki kolorowe, w kroju dawnym, od wierzchu szeroką frandzlą obwiedzione, z dwiema ostrogami. Szabla bogato osadzona. Kobięcy strój prawdziwie mądziarski. Drugi rodzaj ubioru w tym się tylko różni, że zamiast dołmanów, używają czamary, równie bogato wyszywanych, reszta składa się z tych samych części co i poprzedni; ten strój, Węgrzy sami uważają za najdawniejszy.

G U D U L A.

(Dokończenie)

§. III.

SZCZĘŚCIE.

Jeśli noc następną przepędził Piotr we wzruszeniu i bezsenności, Elżbietę przeciwnie, kołysały najprzyjemniejsze marzenia, a młoda dziewczyna spała jeszcze snem głębokim, gdy się obudziła Gudula; —»O Boże! zawoła stara, już siódma; Cóż powie pani Dennessens, widząc że się spóźniła, ja co jestem zawsze tak pilna. Ach! jakże mogłam tak zasnąć. Ubrała się czempredziej, pocałowała w czoło Elżbietę śpiącą jeszcze, i czempredziej poszła do pani Dennessens.

Na twarzy kupcowej widać było chęta-jania.

—»A! już wam się podstarzały nogi! rzekła nielitościwa, wiedząc, że nie można srożej dotknąć starej kobiety, jak wyrzucaniem dolegliwości jej wieku.

Spóźniłam się o kwadrans, rzekła Gudula cokolwiek obrażona: lecz...

—»O kwadrans?... o całe pół godziny.

—»A więc, pani Dennessens potrącisz mi za to spóźnienie i koniec.

—»Nie koniec, gdyż się opóźni robota.

—»Zostanę dłużej wieczorem.

—»Tak! palić świecę bez potrzeby.

—»I cóż mam zrobić? pani Dennessens, czy mam odejść? zapytała się Gudula, tonem obrażonej godności.

Na tę pogroźkę, pani Dennessens widząc iż się za daleko posunęła, ujrzała natychmiast w wyobraźni swojej, nie tylko zawieszoną robotę, lecz jeszcze przybycie szwaczki nie tak pracowitej i na tak zręcznej jak Gudula?

—»No, no, rzekła, tonem łagodniejszym, porzućmy te sprzeczki które do niczego nie doprowadzą, pani Gudulo. Czyliż ci smakowało udko od kapłona.

—»Doskonale! wyborne! odpowiedziała Gudula jeszcze nieco rozgniewana i usiadła do roboty w izbie za sklepem.

Pod czas tej rozmowy, wszedł pan Dennessens notaryusz, i przywitał Gudulę zdziwioną tym zaszczepem.

—»No, rzekł skinąwszy na żonę aby wyszła i usiadłszy obok szwaczki; cóżbyś dała temu któryby ci przyniósł dobrą wiadomość?

—»Czy masz pan jaką dla mnie? zapytała się Gudula uśmiechając się z tego żartu.

—»Tak jest.

—»Bardzo byłabym wdzięczną; rzekła, czynając uważniej słuchać.

—»Otoż donoszę ci żeś odziedziczyła 100,000 złotych.

—«Sto tysięcy złotych! Ach! żartujesz pan ze mnie. Nie czyn tego, to mi zrzęda wielką przykrość.

—»Pani Gudulo uspokoj nieco twoje wzruszenie i posłuchaj mię. Czyliż nie miałś w prowincyi Liege, nie daleko Verriers, w wiosce Seraulle krewnego zowiącego się Eustachi Goffyn?

—»Tak jest panie, lecz jest daleko młodszy odemnie i ma dwoje dzieci.

—»O tóż on i jego dzieci umarli bez testamentu i jesteś jedyną dziedziczką ich majątku.

Gdy notaryusz udzielał tych objaśnień, pani Gudula złożyła drżące od wzruszenia dłonie, pot spływał z jej twarzy, usta jeden tylko wyraz mogły wyjąkać — Elżbieto! Elżbieto!

—»Pójdźmy mówił dalej notaryusz biorąc pod rękę starą kobietę, z wielkiem podziwieniem pani Dennesens która weszła w tę chwilę; pójdź, przejdź się trochę po ogrodzie; świeże powietrze uspokoi wzruszenie twoje.

W rzeczy saméj, po kilku chwilach przechadzki, Gudula zebrała myśli.

—»Panie Dennesens; rzekła, ten majątek nie może przydać się dla mnie, starej i nawykłej do ubóstwa, musi więc służyć do szczęścia mojej młodej pani, do szczęścia Elżbiety, a na to trzeba w nią wmówić że dziedzictwo należy do niej, nie zaś do mnie, gdyżby go nie przyjęła.

Notaryusz spojrział na nią z uwielbieniem i uszanowaniem.

—»Potrzeba to zrobić: mówiła dalej Gudula, z powagą, którą nadaje majątek: a za to będę wiecznie panu zobowiązana.

—»Dobrze, rzekł notaryusz, urządzimy to wszystko.

—»W Cambresis Elżbieta ma licznych krewnych, i nie zna ich wcale; przypuść że jeden z nich umarł i tak był bogaty jak mój kuzyn Goffyn. Każ podpisać Elżbicie akt niby to przyjmujący to udane dziedzictwo, a zamiast tego niech podpisze przyjęcie darowizny mego majątku.

—»Dalibóg, pani Gudulo, tak dobrze znasz się na interessach jak sam notaryusz.

—»Bo idzie o szczęście mego dziecięcia, mojej Elżbiety, którą wychowałam i którą wydam za mąż, mój dobry panie Dennesens: gdyż kocha pięknego młodzieńca, lecz będąc ubodzy oboje, nie mogli się ożenić. Ach! jakże się zadziwia! Lecz muszę oznajmić Elżbicie o tém dziedzictwie. Powiedz mi panie notaryuszu, jejmość nie będzie się gniewać że pójdę nie dokończywszy cerowania bielizny? lecz ręka tak mi drży a głowa tak mi pała, iż nie mogłabym ani jednego oka schwytać; jutro przyjdę wcześniej.

Nie pani Gudulo, nie troszcz się, weźmiemy inną szwaczkę.

—»A to dla czego? zapytała się obrażona Gudula.

—»Bo przez niejaki czas będziesz miała co innego do roboty nie zaś cerowanie moich starych pończoch. Pójdź, połóż znak krzyża świętego na dwóch lub trzech aktach, a potem będziesz wolna.

§. IV.

ROMANSOWY.

W godzinę po wyjściu Guduli, Elżbieta obudziła się, zdziwiona że już dzień i że spała dłużej jak zazwyczaj, lecz była tak spokojna, tak słodkie miała marzenia iż nie śmiała żałować opóźnienia które przez to zrzędziło się w jej robocie. Nie dosyć na tém, zamiast wstać natychmiast i zająć się gospodarstwem, zajęła się miłemi wspomnieniami i jeszcze była w łóżku, zamyślona i beczynna, gdy lekko zapukano do drzwi.

—»Kto tam? zapytała się.

—»To ja. Piotr.

—»Ach mój Boże! rzekła, jakież, mnie manie powezmie o mnie, gdy się dowie że jeszcze o tej godzinie nie wstałam? Mniejsza o to, obraziłby się, gdybym go nie przyjęła.

Ubrała się więc na prędce, zasunęła błękitne firanki alkowy i otworzyła wreszcie. Piotr wszedłszy uśmiechnął się złośliwie, widząc oczy pięknej spiozki jeszcze nie przetarte ze snu.

—»Coż cię sprowadza tak rano? zapytała się zaptłonią.

—»Byłem smutny i miałem na sercu ciężkie i bolesne myśli, przyszedłem do ciebie ażeby się uleczyć. Nie spodziewałem się że jeszcze spać będziesz o dziesiątej; przydał, spoglądając na porozrucane sprzęty małego pomieszkania.

—»A za karę dopomożesz mi do ich ułożenia, panie Piotrze. Weź ze mną ten stolik. Dobrze. Posuńmy teraz ten stołek.

—»Pracują jakby już na swoim gospodarstwie! odezwał się głos najradosniejszy, jaki kiedykolwiek słyszeli narzeczeni.

Była to Gudula, zaczerwieniona, zdyszała, i tak lekka jakby dopiero miała lat piętnaście.

—»Dobrze, dobrze, panie Piotrze, naucz się pomagać żonie w zachodach około domu, gdyż pobierzecie się za dwa tygodnie.

—»Za dwa tygodnie! powtórzył Piotr zdziwiony.

—»Czyliżes mi nie powtarzał sto razy, że samo tylko ubóstwo przeszkadzało ci do ożenienia?

—»I cóż? rzekł Piotr błędniejąc.

—»Otóż... jesteś bogatym.

—»Wie mój sekret« pomyślał. Kazała iść za nią, śledziła mię, może nawet już od dawna przenikła tajemnicę którą się otczyłem! może... Ach! byłaby to rzecz okropna! Może przyjmują mię i kochają, dla tego tylko że jestem bogatym.

—»Jesteś bogatym: powtórzyła Gudula.

—»Bogatym! kto? ja?

—»Ty, nie, lecz Elżbieta; odziedziczyła sto tysięcy złotych.

—»Ja Gudulo?

—»Ty moje dziecię. Nie troszczcie się więc o nic, nie smućcie się, nie czekajcie. Bawmy się wesoło! tra la la la la!

I tańcowała i skakała klaszcząc w ręce.

A potem wytłomaczyła narzeczonemu, że krewny Elżbiety, zapisał jęj sto tysięcy złotych.

—»To wszystko do ciebie należy, Piotrze, rzekła Elżbieta, użyjesz tego podług woli twojęj. Żyć będziemy spokojnie z naszych procentów, albo też założymy handel jeśli zechcesz; wszystko mi jedno, bylebym tylko nie rozłączyła się z tobą.

—»I nie rozłączymy się Elżbieto; za dwa tygodnie będziesz moją żoną w obliczu Boga i ludzi; nie z powodu bogactw twoich, przydał, lecz z powodu twego serca i przywiązania... Ja także mam tajemnicę, lecz dowiesz się o nięj dopiero w dzień ślubu. A tym czasem zajmę się przygotowaniami do wesela. Nie wychodź, nie widuj się z nikim. Czyliż mi to przyrzekasz?

—»Przyrzekam Piotrze.

—»Żegnaj cię więc moja Elżbieto.

Czule pocałował ją w rękę, a Gudula wołała z radości.

—»Za dwa tygodnie! za dwa tygodnie!

Te dwa tygodnie przeznaczone na załatwienie formalności, upłynęły na robotach, przy których igielka pani Guduli wielką grała rolę; bo jeżeli młoda dziewczyna sama skrajała swoją ślubną suknię, uszyła ją Gudula, a możemy domyślić się z jakim staraniem Piotr prawie na krok nie wychodził od nich i tylko usiłował ile można nie dozwać im aby nie wychodziły z domu i nie miały związku z innymi osobami.

Lecz na cztery dni przed ślubem zaprzestał je odwiedzać i możecie sobie wystawić jaką niespokojność ogarnęła serce i wyobraźnię dwóch kobiet.

Siedząc przy oknie, Elżbieta spoglądała bez ustanku, czyli zdala nie postrzeże swęgo narzeczonego i serce jęj mocno biło, jeżeli kto pokazał się na końcu długiej ulicy; lecz w krótkie trzy płynęły z jęj oczu, gdyż to nie był jęj narzeczonu.

—»Zachorował, mówiła dręczona niespokojnością, a ja nie jestem przy nim, abym go doglądała, abym czuwała przy jego to-

żu... Innym razem, okropna myśl powstała przed jęj umysłem.

— Nie przyjdzie! nie kocha mię!

Gudula cierpiąta tyle przynajmniej ile Elżbieta, lecz udawała zaufanie od którego była daleką; ze srogą rozpaczą kończyła przygotowania do ślubu, tęp sroższą, że ją musiała pokrywać pozorną wesołością.

Nareszcie nadszedł dzień ślubu. Od ósmęj rano, Gudula ubrana w nową suknię, zaczęła ubierać Elżbietę, która blada i ledwie mogąc ustać, nie odrywała oczu od okna. Niespokojność przyprawiła ją o tak mocne drżenie, iż ledwie mogła przypiąć szpilki i zawiązać wstążki u sukni Elżbiety.

Udźwienie to trwało aż do dziesiątęj rano.

O dziesiątęj, muzyka dała się słyszeć na ulicy i ani domyślając się że to była ślubna muzyka, Gudula wyszła do sieni, dla zobaczenia co się dzieje. Wyobraźcie sobie jęj podziwienie. Muzykanci poprzedzali bractwo Sęgo Ildefonsa, którego członkowie przybrani w wspaniałe szaty, postępowali z rozpuszczeniem chorągwiami. Za niem szła deputacja mieszczan, a na jęj czele burmistrz i sekretarz miasta.

Orszak zatrzymał się i stanął w koło przy małym domku.

Wówczas pokazał się pan młody, Piotr, w bogatym ubiorze, i zewsząd powstał okrzyk:

—»Niech żyje żona Rubensa!

—»Rubens! wyjąkała zdumiona Elżbieta. Rubens! ten sławny artysta którego imię powtarzają wszyscy z uszanowaniem i uwielbieniem. Ty jesteś Rubens, Piotrze?

—»Tak jest moja Elżbieto, tak jest; mój majątek, moje imię, moja chwała, wszystko do ciebie należy.

—»Cóż mię to wszystko obchodzi gdy mię kochasz?

—»Ale gdzież jest Gudula?

—»Jestem, jestem, rzekła stara kobieta, zmieszana, widząc że pan Piotr stał się tak ważną osobą.

—»Ach! ach! znam twoję podejścia pani Gudulo, notaryusz Dennessens wszystko mi powiedział.

—»Daj pokój, po cóż o tem gadać przed ludźmi.

—»Nie powiem im, bo już wiedzą o tęp.

—»Moi przyjaciele; przydał biorąc za rękę starą kobietę, moi przyjaciele o to jest Gudula.

Każdy z uszanowaniem odkrył głowę.

—»A teraz przydał, biorąc za rękę Elżbietę i Gudulę, idźmy do katedralnego kościoła, gdzie biskup pobłogosławi nasz związek.

—»Niech żyje Rubens! niech żyje Elżbieta Grand, wykrzyknął lud zgromadzony.